



MICHAŁ  
BUŁHAKOW

Mistrz  
i Małgorzata

BELLONA



Mistrz  
i Małgorzata



# Mistrz i Małgorzata

Tłumacz  
Jan Cichocki

**BELLONA**  
W A R S Z A W A

*No więc... kim jesteś ty?  
– Tej siły cząstką drobną,  
Co zawsze złego chce i zawsze sprawia dobro\*.*

J.W. Goethe, *Faust*

---

\* Przekł. Feliks Konopka.



# Część pierwsza



## Rozdział I

### Nigdy nie rozmawiajcie z nieznajomymi

Zapadał upalny wiosenny zmierzch, gdy na Patriarszych Prudach pojawili się dwaj obywatele. Jeden, na oko czterdziestoletni, ubrany w letni szary garnitur, niziutki, okrągłutki i łysy, trzymał w dłoni szykowny kapelusz, a jego starannie ogoloną twarz zdobiły nienaturalnej wielkości okulary w czarnej rogowej oprawie. Drugi – barczysty młody mężczyzna, któremu cyklistówka w kratkę zjechała ze splątanych rudawych włosów na tył głowy – miał kraciatą koszulę, wymięte białe spodnie i czarne pepegi.

Pierwszym był nie kto inny, jak sam Michaił Aleksandrowicz Berlioz, redaktor miesięcznika literackiego i prezes zarządu jednego z największych moskiewskich stowarzyszeń literackich, nazywanego w skrócie Massolit. Towarzyszył mu młody poeta Iwan Nikołajewicz Ponyriow, używający pseudonimu Bezdomny.

Kiedy literaci zagłębili się w cieniu lip okrytych wczesną zielenią, od razu pospieszyli w stronę jaskrawo wymalowanego kiosku z napisem „Piwo i napoje”.

Tu warto odnotować pierwszą dziwną okoliczność tego straszego majowego wieczoru. Nie tylko przy kiosku,

ale i na całej alei, równoległej do ulicy Małej Bronnej, nie było nikogo. Kiedy wydawało się, że już nie ma czym oddychać, kiedy słońce, rozżarzywszy Moskwę, zanurzone w suchej mgielce zniknęło gdzieś za Sadowym Kolcem, nikt nie przyszedł pod lipy, nikt nie usiadł na ławeczce – aleja była pusta.

– Butelkę narzanu – poprosił Berlioz.

– Nie ma narzanu – odparła kobieta w kiosku i nie wiedzieć czemu obraziła się.

– Piwo jest? – ochryplym głosem spytał Bezdomy.

– Piwo przywiozą wieczorem – oznajmiła kobieta.

– A co jest? – zainteresował się Berlioz.

– Napój morelowy, ale ciepły – powiedziała.

– Cóż, niech będzie, byle szybko!...

Morelowy nektar obficie zapienił się na żółto i w powietrzu zapachniało jak u fryzjera. Napiwszy się, literaci natychmiast dostali czkawki, zapłacili i usiedli na ławce twarzą do stawu, a plecami do Bronnej.

Wtedy zaistniała druga przedziwna okoliczność, dotycząca wyłącznie Berlioza. Literat nagle przestał czkać, jego serce załomotało i na moment gdzieś się zapadło, po czym wróciło z tkwiącą w nim tępą igłą. W dodatku Berlioza ogarnął nieuzasadniony, a tak silny lęk, że chciał natychmiast, nie bacząc na nic, uciekać z Patriarszych Prudów. Przygnębiony obejrzał się, nie pojmując, co go tak wystraszyło. Zbladł, otarł czoło chusteczką i pomyślał: „Co się dzieje? Nigdy czegoś takiego nie miałem... serce wysiada... jestem przepracowany. Chyba czas rzucić wszystko w diabły i jechać do Kisłowodzka...”.

W tej samej chwili tuż przed nim rozpalone powietrze zgęstniało i utkał się z niego przezroczysty obywatel



o przedziwnym wyglądzie. Na malutkiej główce dżokejka, do tego powiewna kusa marynareczka w kratkę... Wzrostu jegomość miał z sążeń, ale był wąski w barach, chudy niezmiernie, a fizjonomia, proszę zauważyć, była szydercza.

Życie Berlioza płynęło tak, że nigdy ze zjawiskami nadprzyrodzonymi nie miał do czynienia. Pobladł więc jeszcze bardziej, wytrzeszczył oczy i w panice pomyślał: „To niemożliwe!”.

Ale, niestety, coś takiego się pojawiło. Przejrzysty, tyczkowaty obywatel, nie dotykając ziemi, kołysał się przed nim to w lewo, to w prawo.

Berlioz z przerażenia zamknął oczy. Kiedy zaś je otworzył, zobaczył, że już po wszystkim, miraż się rozplynął, kraciasty zniknął, a i tępa igła wyskoczyła z serca.

– Niech to lichu! – zawołał redaktor. – Wiesz, Iwanie, dopiero co z tego skwaru nieomal nie dostałem udaru! Nawet miałem coś w rodzaju halucynacji. – Spróbował się uśmiechnąć, ale w jego oczach wciąż jeszcze czaiła się panika, a ręce mu drżały.

Pomału jednak doszedł do siebie, powachlował się chusteczką i wypowiedziawszy dość rześko: „No, więc...” – podjął na nowo temat, przerwany spożyciem morelowego napoju.

Tyrada, jak się potem okazało, dotyczyła Jezusa Chrystusa. Rzecz w tym, że do kolejnego zeszytu miesięcznika redaktor zamówił u poety duży antyreligijny poemat. Iwan Nikołajewicz napisał ten poemat, nawet bardzo szybko, ale, niestety, ani trochę nie zadowolili on redaktora. Co prawda, główną postać poematu, to znaczy Jezusa, Bezdomy odmalował w bardzo ciemnych barwach, niemniej jednak, zdaniem redaktora, utwór należało pisać od nowa.

I oto teraz redaktor robił poecie coś w rodzaju wykładu o Jezusie, chcąc uwypuklić największy błąd autora. Trudno powiedzieć, co konkretnie zawiodło Iwana – siła jego talentu czy może kompletna nieznajomość kwestii, o której zamierzał pisać – w każdym razie Jezus w jego poemacie jawił się jako postać żywa, kiedyś istniejąca, aczkolwiek obdarzona wszelkimi możliwymi wadami charakteru. Berlioz natomiast chciał poecie udowodnić, że istotą problemu jest nie to, jaki był Jezus – zły czy dobry, ale że owego Jezusa w ogóle nie było na świecie i że wszystkie opowieści o nim to zwyczajne wymysły, po prostu mity.

Należy odnotować, że redaktor był człowiekiem czytany i w swoim wykładzie trafnie odwoływał się do starożytnych historyków, na przykład do sławnego Filona z Aleksandrii lub wspaniałego erudyty Józefa Flawiusza, którzy nigdy bodaj słowem nie wspomnieli o istnieniu Jezusa. Prezentując solidną wiedzę, Michaił Aleksandrowicz powiedział poecie między innymi także to, że fragment rozdziału czterdziestego czwartego w księdze piętnastej słynnych *Roczników* Tacyta, w którym jest mowa o kaźni Jezusa, to tylko później dodana podrobiona wstawka.

Poeta, dla którego wszystko, o czym mówił redaktor, było nowością, z uwagą słuchał Michaiła Aleksandrowicza. Wlepił weń bystre zielone oczy i z rzadka czkając, szeptem przeklinał morelowy napój.

– Nie ma ani jednej religii na Wschodzie – tłumaczył Berlioz – w której dziewica nie wydałaby na świat boga. Chrześcijanie nie wymyślili więc niczego nowego, dokładnie tak samo stworzyli swojego Jezusa, który w rzeczywistości nigdy nie istniał. I to właśnie należy podkreślić...

Piskliwy tenor Berlioza rozbrzmiewał w pustej alei i w miarę jak Michaił Aleksandrowicz zagłębiał się w gąszcz, gdzie nie ryzykując skręcenia karku, może wejść jedynie człowiek bardzo wykształcony, poeta czerpał coraz więcej ciekawej i pożytecznej wiedzy. Usłyszał zarówno o egipskim Ozyrysie, dobrym bogu i synu Nieba i Ziemi, jak i mezopotamskim bogu Dumuzim oraz Marduku, a nawet o mniej znanym Huitzilopochtli, groźnym bogu, którego niegdyś czcili meksykańscy Aztekowie.

I akurat gdy Michaił Aleksandrowicz opowiadał poecie, jak to Aztekowie lepili z ciasta figurkę Huitzilopochtli, w alei pojawił się pierwszy spacerowicz.

Później, kiedy prawdę mówiąc, było już za późno, różne instytucje przedstawiały rysopis tego człowieka. Porównanie tych rysopisów musi budzić zdziwienie. Otóż w pierwszym odnotowano, że osobnik ten był małego wzrostu, miał złote zęby i utykał na prawą nogę. W drugim, że był wielkoludem, miał platynowe koronki na zębach i kulał na lewą nogę. Trzeci znowu podawał lakonicznie, że znaków szczególnych nie miał.

Przyznać trzeba, że te wszystkie rysopisy niewarte są funta kłaków.

Przed wszystkim opisywany jegomość na żadną nogę nie utykał i nie był ani małego wzrostu, ani olbrzymiego, lecz po prostu wysokiego. Co zaś do zębów, to z lewej strony miał platynowe koronki, a z prawej – złote. Ubrany był w drogi szary garnitur i zagraniczne półbuty dobrane pod kolor garnituru. Zawadiacko, na bakier nosił szary beret, pod pachą trzymał laskę z czarną rączką w kształcie głowy pudła. Na oko mógł mieć czterdzieści lat z okładem. Usta jakieś krzywe. Gładko ogolony. Brunet. Prawe oko czarne,

lewe, nie wiedzieć czemu, zielone. Brwi czarne, ale jedna wyżej niż druga. Słowem – obcokrajowiec.

Przechodząc koło ławki, na której przysiedli redaktor i poeta, cudzoziemiec zerknął na nich, przystanął i niespodziewanie usiadł na sąsiedniej, dwa kroki dalej.

„Niemiec” – pomyślał Berlioz.

„Anglik – pomyślał Bezdomny. – Patrzcie no, że też mu nie gorąco w rękawiczkach”.

Przybysz ogarnął spojrzeniem wysokie domy, otaczające staw z czterech stron, sprawiał wrażenie, że widzi to miejsce po raz pierwszy i że go ono zainteresowało.

Zatrzymał wzrok na górnych piętrach, gdzie słońce, na zawsze opuszczające Michaiła Aleksandrowicza, oślepiąco odbijało się i załamywało w oknach, następnie spojrzął w dół, gdzie szyby już przyciemniał wieczorny zmrok, pobłażliwie uśmiechnął się do siebie, przymrużył oczy, oparł dłonie na gałce laski, a podbródek – na dłoniach.

– Bardzo dobrze i satyrycznie – podjął Berlioz – na przykład narysowałeś, Iwanie, narodziny Jezusa, syna bożego, ale sęk w tym, że jeszcze przed Jezusem przyszło na świat mnóstwo synów bożych, dajmy na to, fenicki Adonis, frygijski Attis czy perski Mitra. A przecież, krótko mówiąc, żaden z nich się nie narodził i nigdy nie istniał, podobnie jak nie istniał Jezus. Musisz więc zamiast narodzin i, powiedzmy, pokłonu mędrców opisać niedorzeczne słuchy o tych narodzinach... Z twojej opowieści wynika bowiem, że on naprawdę się urodził!

Bezdomny właśnie próbował opanować dręczącą go czkawkę, wstrzymał oddech, przez co czknął jeszcze boleśniej i głośniej, a w tej samej chwili Berlioz przerwał swój

wywód, gdyż cudzoziemiec nagle wstał i podszedł do literatów.

Ci spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Wybaczcie, panowie – przybysz odezwał się z obcym akcentem, lecz nie kalecząc słów – że jako nieznajomy pozwalam sobie... atoli przedmiot uczonej dysputy panów jest tak interesujący, że...

Mówiąc to, grzecznie zdjął beret, więc przyjaciołom nie pozostawało nic innego, jak wstać i również się uklonić.

„Nie, to raczej Francuz...” – pomyślał Berlioz.

„Polak?” – zastanawiał się Bezdorny.

Trzeba dodać, że cudzoziemiec od pierwszych słów zrobił na poecie odstręczające wrażenie, Berliozowi zaś nawet się spodobał, to znaczy nie to, że się spodobał, ale... jakby to powiedzieć... wydał się ciekawy czy coś w tym rodzaju.

– Czy mogę się przysiąść? – spytał uprzejmie cudzoziemiec i przyjaciele jakoś tak mimo woli zrobili mu miejsce. Cudzoziemiec zgrabnie usiadł między nimi i od razu włączył się do rozmowy.

– Jeśli się nie przesłyszałem, był pan uprzejmy powiedzieć, że Jezus nie istniał? – spytał, kierując w stronę Berlioza lewe zielone oko.

– Nie, nie przesłyszał się pan – z kurtuazją odparł Berlioz – to właśnie mówiłem.

– Ach, to ciekawe! – zawołał cudzoziemiec.

„Czego on, u diabła, chce?” – pomyślał Bezdorny i zmarkotniał.

– A pan zgadza się ze swym rozmówcą? – dopytywał się nieznajomy, zwracając się do Bezdornego.

– W stu procentach! – potwierdził tamten, lubił bowiem wyrażać się kwiecicie i metaforycznie.

– Zdumiewające! – krzyknął nieproszonego interlokutora. Nie wiedzieć czemu ukradkiem rozejrzał się i dodał, ścisząc swój niski głos: – Proszę wybaczyć moje natręctwo, ale domyślałam się, że panowie w dodatku także nie wierzycie w Boga? – Zrobił przestraszoną minę i dodał: – Przysięgam, nikomu nie powiem!

– Tak, nie wierzymy w Boga – odpowiedział Berlioz, lekko rozbawiony przestachem zagranicznego turysty. – Ale o tym można mówić absolutnie bez obawy.

Cudzoziemiec odchylił się na oparcie ławki i aż zapiszczał z ciekawości:

– Panowie są ateistami?!

– Tak, jesteśmy ateistami – z uśmiechem odpowiedział Berlioz, zaś rozsierdzony Bezdomy pomyślał: „No i przyczepił się, zagraniczny świr!”

– Ależ to urocze! – wykrzyknął zadziwiający cudzoziemiec i pokręcił głową, spoglądając to na jednego, to na drugiego literata.

– Ateizm w naszym kraju nikogo nie dziwi – powiedział Berlioz z dyplomatyczną uprzejmością. – Już dawno większość naszego społeczeństwa świadomie przestała wierzyć w bajki o Bogu.

Nagle cudzoziemiec wykręcił taki numer: wstał i uścisnął zdziwionemu redaktorowi dłoń, mówiąc przy tym:

– Pragnę panu podziękować z całego serca!

– A za cóż to mu pan dziękuje? – spytał Bezdomy, mrugając oczami.

– Za bardzo ważną informację, która dla mnie, podróżnika, jest nadzwyczaj interesująca – wyjaśnił zagraniczny dziwak, podkreślając znaczenie swoich słów podniesionym palcem.

Ważna informacja najwidoczniej istotnie wywarła na podróżniku wielkie wrażenie, ponieważ z przestachem przebiegł wzrokiem po domach, jakby w obawie, że w każdym oknie zobaczy ateistę.

„Nie, to nie Anglik...” – stwierdził Berlioz, zaś Bezdomny pomyślał: „Gdzież to on się tak wyszkolił w rosyjskim, to ciekawe!” – i znowu się zasępił.

– Pozwoli pan jednak, że spytam – po poważnym namyśle odezwał się zagraniczny gość – co w takim razie z dowodami na istnienie Boga, których, jak wiadomo, jest dokładnie pięć?

– Niestety! – powiedział Berlioz z ubolewaniem. – Wszystkie te dowody są nic niewarte, ludzkość dawno odłożyła je do archiwum. Przecież zgodzi się pan, że w kategoriach rozumowych nie można mówić o jakimkolwiek dowodzie na istnienie Boga.

– Brawo! – zawołał cudzoziemiec. – Brawo! Pan dokładnie powtórzył myśl niesfornego staruszka Immanuela na ten temat. Zabawne wszelako jest to, że on ostatecznie rozbił wszystkie pięć dowodów, a potem, jakby kpiąc z samego siebie, sformułował własny, szósty dowód!

– Dowód Kanta jest również nieprzekonujący – z subtelnym uśmiechem zaoponował odczytany redaktor. – Schiller mówił, nie bez kozery, że Kantowskie rozmyślania na ten temat mogą zadowolić tylko niewolników, a Strauss zwyczajnie śmiał się z tego dowodu.

Berlioz mówił i jednocześnie się zastanawiał: „No, ale jednak któż to jest? I skąd tak dobrze zna rosyjski?”

– Wziąć by tego Kanta i za takie dowody wysłać na jakie trzy lata na Sołowki! – ni gruszki, ni z pietruszki rąbnął Iwan Nikołajewicz.



Znakomita wielowątkowa powieść rosyjskiego pisarza,  
weszła na stałe do kanonu literatury światowej.  
Przyniosła międzynarodową sławę Michaiłowi Bułhakowowi.  
Akcja przenosi się z Moskwy czasu Stalina do Palestyny  
za Jezusa i Poncjusza Piłata. W publikacji groteskowy  
wizerunek Rosji lat trzydziestych wraz  
z jej realiami obyczajowymi.  
Fascynujący i ponadczasowy obraz walki dobra i zła.  
Książka jest jak narkotyk – wraca się do niej nieustannie.

**NOWY PRZEKŁAD NAJWAŻNIEJSZEJ POWIEŚCI XX WIEKU**  
oparty jest na szóstej, ostatniej, zgodnej z wolą autora  
wersji powieści (z lat 1938–1940), zakończonej  
niedługo przed śmiercią Bułhakowa.

